

ZA ORZEŁKA, ZA WUJKA I ZA KONICZYNKĘ...

W trakcie prac remontowych na terenie gdańskiego Aresztu Śledczego przy ul. Kurkowej okazało się, że znaczna część dolnej kondygnacji została na początku lat sześćdziesiątych starannie zasypana. Po częściowym odgruzowaniu zasypanych pomieszczeń i korytarzy natrafiono m.in. na dwa karcery. W zasypanej strefie znajdowała się także sala egzekucyjna, gdzie po wojnie UB i Informacja Wojskowa zabijały żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego.

O tym wszystkim napisał m.in. „Dziennik Bałtycki”. Po lekturze artykułu do gdańskiego IPN zadzwonił Józef Welz z Gdyni, który w latach 1947–1948 był więziony na Kurkowej. Oto jego relacja.

Urodziłem się w Sokolowicach koło Kościana w 1925 r. W domu było nas ośmioro dzieci. Było ciężko. Gdy miałem sześć lat, nasi rodzice postanowili odmienić życie. Brat ojca był nurkiem w marynarce, po wypadku już nie mógł schodzić pod wodę, więc założył firmę przewozową Welz. Ściągnął nas do Gdyni. Ale ojciec ciężko chorował. Zmarł, gdy miałem dwa-onaście lat. A potem przyszła okupacja i było jeszcze gorzej. Jedna z sióstr zmarła z braku opieki lekarskiej, brat trafił do Stutthofu. Pracowałem u ogrodnika, żeby pomóc rodzinie.

Kiedy ranne wstają zorze na posterunku...

Zaraz po wojnie, jeszcze w 1945, poszedłem do milicji, żeby odsłużyć wojsko. To jeszcze nie była ta milicja z grudnia 1970 czy ze stanu wojennego. Rano śpiewaliśmy *Kiedy ranne wstają zorze*, wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*, a na Wielkanoc staliśmy w kościele. Ho, ho! Jak mnie przydzielili do Komisariatu II na Wojska Polskiego, dawniejsza Lipowa, to tam nawet doszło kiedyś do strzelaniny pomiędzy ubowcami a milicją i pomiędzy Ruskimi a milicją. To nie było tak, jak teraz sobie ludzie wyobrażają. Po tej strzelaninie porozrzucali nas i trafiliśmy do Komisariatu IV na Pomorską. No a potem mnie posadzili.

„Piastowska” grupa

Sądził mnie Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrzeszczu z artykułu 149. Z tego artykułu można było dostać nawet kaesa. Sędzia dał mi dwa i pół roku, biorąc pod uwagę „młody wiek i niedoświadczenie oskarżonego”.

Za co siedziałem? Do dziś nie wiem. Nic wielkiego nie zrobiłem, żadnym bohaterem nie byłem, tylko że jak założyłem orzelka z koroną, to go już nie chciałem zmienić na gapę. Moje kłopoty rozpoczęły się właśnie od orzelka. Doszła jeszcze sprawa przynależności mojego wujka do AK. Nachodził mnie taki jeden z Informacji i pytał, co robię, z kim się spotykam po pracy, i tak dalej. No i pyta też, czemu noszę orzelka z koroną. A ja mu na to, że takiego orzelka dostałem od żołnierza, co szedł spod Lenino. To była bujda, ale chciałem go zaskoczyć. Powiedziałem, że orzelka nie zmienię. – Koronę ciąc – on mi tłumaczy. Że niby doszliśmy do czasów piastowskich, a za czasów piastowskich była gapa. – Przed wojną gapy nie było, był orzełek taki jak ten – ja mu na to. – Takiego dostałem i takiego będę nosił.

Widziałem, jak palili wyniki głosowania w czasie referendum i nowe kartki wkładali do urny. Jak były wybory w 1947, nie miałem już prawa głosowania i cała moja rodzina też była skreślona z listy. Z IV Komisariatu było nas takich ośmiu. W ogóle to w całym komisariacie jeden tylko był w PPS, taki politruk. Do PPR-u jeszcze nie zdążył wstąpić.

– Koniczynkę masz? – pytali i to mi jeszcze przyłatali, że ja byłem niby przewodnikiem, żeby koledzy do partii nie wstępowali, że założyłem organizację mikołajczykowską. A to się przecież tak złożyło spontanicznie. Tam po prostu wszyscy byli przeciwko komunie.

Więzień polityczny

Aresztowali mnie 15 maja 1947 r. Najpierw trzymali mnie na wojewódzkim UB, potem przez tydzień na kwarantannie. To były cztery dni na Oddziale II lub IV więzienia przy Kurkowej. A potem trafiłem na oddział VI.

Przez pierwsze dni wszyscy byli ciekawi i się dopytywali, co tam na świecie. Aż tu nagle, po pierwszych odwiedzinach, gdy do mnie mama przyjechała, zrobiła się wokół mnie cisza i wszyscy na dystans. Co jest, do cholery? Nie od razu skojarzyłem, że chodzi o te widzenia. Do mnie co tydzień ktoś przyjeżdżał. Siedział ze mną taki jeden ze Lwowa, trochę starszy. Po miesiącu pyta, czy coś wyczułem koło siebie. Pewnie, że tak! Gdzie się człowiek nie pokazał, na spaceru czy do fryzjera, nikt się nic nie odzywał. A on mi na to: – Bo ty, chłopie, byłeś sprawdzany, czy nie jesteś czasem podstawiony. Co tydzień szedłeś na widzenia. Diabli wiedzieli, czy na widzenia, czy na co innego...

Jak to się wyjaśniło, atmosfera się zmieniła. Zaczęły się rozmowy i opowiadania. O wielu sprawach jeszcze wtedy nie wiedziałem.

Kiedyś mówię do tego lwowiaka, że szósta godzina rano, a tu jeszcze apelu nie ma. Co się dzieje? – To egzekucja. Bądźcie cicho. Jak będzie słycać trrr..., to znaczy, że rozstrzelali. A jak z pół godziny będzie cisza, to znaczy, że powiesili...

No i usłyszeliśmy trrr..., a potem była cisza.

– Żebyście wiedzieli, co tu się działo zeszłego roku. Całe ściany w egzekucyjnej były opryskane krwią...

Aż kiedyś sam to zobaczyłem.



Józef Welz

RELACJE I WSPOMNIENIA Po egzekucji się sprząta

Oddział VI był dla politycznych. Podwórko najmniejsze w więzieniu. Trzeba było chodzić w kółko, jeden za drugim, co dwa metry. Z tego oddziału nie było żadnych cel na podwórze, tylko okna. Z bloku prowadziły schody do góry. Tu był taki balkonik i wejścia do cel. Siedzieliśmy we trzech, ale w jedyńce. Oni spali we dwójkę na jednym łóżku, a ja na materacu położonym na betonie.

Oddział był cały skanalizowany, ale woda była tylko w piwnicy, wyżej nie dochodziła, za słabe ciśnienie. No i te rury to służyły za telefon, a nie do wody. Pukanie było różne, zależy od piętra. Jak się odezwał nie ten co trzeba, zaraz była odpowiedź: to nie do ciebie! Czasem ktoś przekazał gryps na spacerze, ale to było bardzo trudne.

Kiedyś rano znów nie ma apelu, tylko egzekucja. Trrr..., potem znowu trrr... – dwóch rozstrzelali. Potem cisza, nikomu nie wolno się ruszać. Możesz tylko myśleć. Dopiero wstaniesz, jak zawołają na apel. Jak nie posłuchasz, pójdziesz do karca.

I wtedy nas wzięli na to sprzątanie. Nie wiem, czemu akurat nas. Może po prostu dlatego, że nasza cela była blisko?

Nie widziałem, kogo rozstrzeliwali, po kim sprzątałiliśmy. Tylko czasami człowiek coś usłyszał, co ludzie mówili. Mówili o „Ince”, tej młodej sanitariuszce „Łupaszki”, o tych Semper Fidelis Victoria i o innych.

Jak się weszło do egzekucyjnej, to z prawej strony była ściana czymś obita, chyba trocinami. Żeby rykoszetów nie było. Ale słyszałem, że tam też ludzi pałami bili, słychać było straszne krzyki. W środku był taki pał wysoki, do którego przykuwali więźnia, u góry była pętla dla tych, co byli wieszani. Pętla była blisko tego stupa, wisiąca na haku przymocowanym do sufitu. Na pału były kółka, do których przywiązywali więźnia, a za tym był taki rowek. Jak zmywaliśmy, to wszystko szło w ten rowek.

Cały sufit był w kroplach krwi, choć ten starszy więzień mówił, że tu już wcześniej zmywali na mokro. Sala egzekucyjna była wyłożona kafelkami do połowy ścian. Z tego dało się jeszcze zmyć, ale to co wyżej, było stale zbrzyzgane krwią.

Strzelali z bliska, jakieś trzy, cztery metry. O ile wiem, nie było żadnego plutonu egzekucyjnego. Wyroki wykonywali ci z Informacji i z UB, a nie strażnicy więzienni.

Nasze zadanie to było sprzątanie i zmywanie krwi. Tylko że tam wody nie było. Strażnik kazał chodzić na dół, bo na dole woda zawsze była. Zeszliśmy po takich stromych schodach i skręciliśmy w lewo, na ścianie był kran.

Segment do ściskania, stół do rozciągania...

Obok kranu były drzwi. – Zobacz, tu jest mokry karzec – mówi mój towarzysz. Spojrzałem, w środku stał taki stół, może metr, może metr dwadzieścia wysoki. Wlewali wodę, równo z tym słupem. Jak kto nie chciał stać w tej lodowatej wodzie, to musiał stać na tym słupie... Za moich czasów siedział w tym mokrym karcu taki człowiek koło siedemdziesiątki. Dostał 15 lat za Mikołajczyka.

A potem ten mój kolega otworzył jeszcze szybko drugie drzwi. Na środku stał stół. Taki dziwny, jakby do rozciągania albo co. Słyszałem, że oni na tym stole w pięty bili. Z prawej strony był karzec suchy: takie kraty i prycza, a za tym klatka i znowu prycza. Więzień w karcu dostawał kubek wody i kromkę chleba na 24 godziny. Była też szafa, taki segment. Człowieka tam wciskali, że nie mógł się ruszyć. Obok był fotel z okowami do przykuwania rąk i głowy. A u góry była rura, z której więźniowi kapłała woda na głowę.

Pałnąłem Forstera w kapelusz...

Kiedyś o mało sam nie trafiłem do karca, bo przypadkiem koło mnie wyprowadzali na podwórze Alberta Forstera. Od razu go poznałem i pałnąłem go w kapelusz. Nic wielkiego, ale krzyk się zrobił, jakbym Pana Boga uderzył. Przy Forsterze wszystko robili więźniowie. Miał radio i coś do pisania. Traktowali go bez porównania lepiej niż nas.

Ludzie też tam byli

Wszyscy się bali tych z UB i z Informacji. Za to strażnicy więzienni to przeważnie nie byli źli ludzie. Szczególnie ten nasz oddziałowy to był dobry chłop. Nieraz po capstrzyku przychodził niby na kontrolę i pytał, czy czegoś nie brakuje. A potem przyniósł i rzucił prędko. Dzięki niemu w 1948 r. trafiłem do kuchni, bo byłem straszny mizerak.

Z orzelkiem w życie

W Gdańsku byłem do listopada, potem wsadzili nas do samochodów i wywieźli okratowanymi wagonami do Sztumu. Stamtąd mnie wypuścili trzy miesiące przed czasem, bo jakaś amnestia była.

Z więzienia wyszedłem z tym orzelkiem, co mnie tak dużo kosztował. I potem, jak się ożeniłem, w domu został. Polubiliśmy się...

Relację opracowali Piotr Szubarczyk i Piotr Semków, OBEP IPN Gdańsk



Cela aresztu śledczego przy ul. Kurkowej